ŚWIAT SZKOLNY

1936 Nr. 3

Redakcja składa tą drogą wszystkim kol. Maturzystkom i Maturzystom życzenia najpomyślniejszego przebiegu egzaminów dojrzałości.

Istnieją idee, które nigdy nie tracą na swej aktualności i stanowią we wszystkich krajach i po wsze czasy hasło naczelne dnia. Do nich należy oszczędność. Idea ta znajduje swe zastosowanie we wszystkich dziedzinach życia zarówno indywidualnego, jak i zbiorowego, urastając do instynktu naturalnego.

W dobie dzisiejszej, gdy wszystkie państwa uginają się pod brzemieniem kryzysu ekonomicznego, gdy z dnia na dzień maleją możności zarobkowe, oszczędność stała się naglącą koniecznością, hasłem każdego myślącego człowieka. Bardzo często oszczędność bywa mylnie kojarzona ze skąpstwem, gdy tymczasem istotą jej nie jest bezcelowe zbieranie pieniędzy, lecz umiejętne użytkowanie i rozumne zarządzanie niemi w poczuciu świadomej troski o przyszłość.

Odróżnić należy rzeczy niezbędne od tych, bez których obejść się można, a choć często wyrzeczenie się takie bywa połączone z przykrością, trzeba pamiętać o tem, że przyszłość dopiero okaże błogosławione skutki oszczędności, gdy grosz dodawany do grosza pozwoli w ciężkiej chwili odpędzić niedostatek. Przez oszczędność zabezpieczamy sobie i najbliższym spokojne jutro, zrywamy z tradycyjnem „jakoś to będzie“, aby móc śmiało oprzeć się igraszkom losu. Człowiek oszczędny potrafi o własnych siłach zrealizować swe cele, zbudować kosztem małych wyrzeczeń wielkie dzieło swego życia.

Podobnie jak w życiu jednostki, tak też w życiu społecznem i państwowem oszczędność jest potężną dźwignią postępu i mocy. „Naród, w którym oszczędzanie stało się przyzwyczajeniem każdego obywatela, buduje swe gospodarstwo na najtrwalszym fundamencie“ — powiedział Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ignacy Mościcki. Słowa te kryją w sobie głęboką prawdę i uzasadnienie, gdyż oszczędności obywatela, składane w publicznych kasach, są miernikiem potęgi finansowej państwa i są zabezpieczeniem jego rozwoju.

Szkoła współczesna winna wychować przyszłych obywateli w kulcie oszczędności, aby wpoić w nich to krótkie, lecz jakże wiele dające do myślenia zdanie: „w małej kropli przyszłe zdroje, a w szelągu miljony“.

„Proch“. S. N. M.

ŚWIAT SZKOLNY

Miesięcznik Młodzieży Szkół Średnich Częstochowy

Rok X | Maj 1936 | Nr. 3 (59)



Rok minął, jak odszedł od nas w inny świat.

Cały naród żegnał Go z płaczem, a dziś znów nadszedł dzień żałoby wspomnienia, lecz płakać już nie będziemy, bo poco Mu łzy? On znał, co ból, On znał, co męka i znój, lecz obcą była Mu łza.

Bić będą długo dzwony, głos ich echem stokrotnem w sercu każdego odezwie się Polaka... Potem dzwony umilkną żałobne, życie potoczy się jak przedtem swojem koliskiem, bo ono nie zna przystanków.

Pójdziemy na dalszy życia bój, lecz On nas już nie poprowadzi, chyba Jego duch, chyba Jego myśl.

Przebrzmią w tym dniu żałoby żołnierzy setek kroki, zatrzęsie się bruk, zajęczy pod kirem przykrytych armat kołami i będzie znów cicho i będzie, jak dawniej, a tylko tam, na Wawelu, pod kryształowem sklepieniem spać będzie On i śnić, że jedzie na czele Narodu w jasną przyszłość bez chmur.

Niech śpi, niech spokojnie śni...

Tak mało miał w życiu spokoju, tak rzadko spokojnie spał. Ciągła walka, ciągły wysiłek, ciągle nowe trudności. Zwycięstwa nowe rodzą boje...

Niech nikt Go więc nie budzi w tym dniu smutnym, żałosnym dniu.

Odpowiedzi kol. Skowrońskiemu.

Na artykuł kol. Skowrońskiego otrzymaliśmy bardzo dużo odpowiedzi, co jest najlepszym dowodem, jak mocno problem wojny obchodzi młodzież Nie można się temu dziwić, bo przecież przyszłymi aktorami wojny będziemy właśnie my.

Wskutek braku miejsca postaramy się dać kolegom najważniejsze myśli z odpowiedzi kol. Wilhelma Rid „Nazaret" i kol. Kopeckiego (GPHS.). Odpowiadający przeciwstawiają się przedewszystkiem twierdzeniu, aby wojna mogła być czynnikiem twórczym, bo w bardzo krótkim czasie niszczy zdobycze kulturalne i materjalne, nagromadzone w ciągu wieków; zabija tysiące niewinnych ludzi, a tych, którym udało się uniknąć śmierci, wykoleja raz na zawsze, przez ciągłe doprowadzanie ich do najniższych stanów zezwierzęcenia. W jednym tylko wypadku wojna może się stać wartościowa, twórcza, a to gdy naród walczy o swoją wolność, ale i wtedy zdobywa się właśnie nanowo to, co już było i właśnie przez wojnę zostało zniszczone. Wojna więc nie stwarza nic nowego, ale obniża poziom kultury, czego dowodem choćby rewolucje francuskie, które były krzykiem przeciw wszelkiej kulturze; ostatnia wojna przyniosła nam jedynie kryzys i to nietylko materjalny; dała nam wprawdzie wolność, tak, ale to zasługa, jeśli nie jednego człowieka, to kilku jednostek.

Wojna może być tylko koniecznością, co się zresztą daje wyczuć w artykule kol. Skowrońskiego, który pisze „wojna jest koniecznością, bo my nie jesteśmy aniołami, więc należy się z nią pogodzić i pragnąć jej, jako czegoś, co daje nowe życie", poco jednak tę konieczność apoteozować aż do wyżyn czynników twórczych; jeżeli się już uprzemy i nazwiemy wojnę twórczą, to pokój jest stokrotnie więcej twórczy.

Wojna może się stać czynnikiem twórczym dla jednego człowieka, dla genjusza, staje się dla niego polem, na którem może się wybić, czemś, co zaspakaja jego pragnienia. Ona w nim tworzy, a on w niej.

Tak więc wojny nie da się obronić, jest i będzie zawsze okrucieństwem, poniżeniem rodzaju ludzkiego.

Odpowiedź na artykuł dyskusyjny kol. Skowrońskiego: „Przebudować psychikę".

Czytając artykuł kol. S., traktujący o wojnie, doznajemy dziwnego uczucia, uczucia jakowegoś buntu wewnętrznego. Buntowałem się czytając i tłumiłem w sobie owo uczucie. Przyznawałem chwilami rację i przekreślałem wszystko od początku do końca. Dziwne są bowiem owe wywody. Po wstępie, przesiąkniętym oparami krwi, usłanym stosami trupów, przechodzi kolega do twierdzenia, jakoby wojna była wartością twórczą i jest nią wtedy, gdy „jest drogą do realizacji jakiejś wielkiej idei człowieka, np. idei wolności, idei potęgi, wypływającej z miłości ojczyzny, jako wyłącznego uczucia" i t. d. Zechciejmy więc zrozumieć, że wtedy jest twórczą wartością. Nie uwierzę w to nigdy! Za słaba argumentacja. Czy kol. nie pomyślał o tem, że strona przeciwna może mieć identyczne idee, „idee potęgi, wypływającej z miłości ojczyzny" i t. p. Ja jestem silniejszy, więc mam prawo zgnieść inne idee, zdusić w zarodku czyjeś dążenia, wgnieść żołnierskim butem w śliskie błoto tysiące tętniących życiem serc, zburzyć ich świątynie, bezcześcić ołtarze...! Wolno mi, bo przyświeca mi „wielka idea potęgi, wypływającej z miłości ojczyzny". —

Pięknie, kolego, brzmią słowa o wielkich ideach, o głębokich uczuciach, o wzniosłych epokowych dążeniach, ale nie wolno nam deptać po piersiach bliźnich, nawet w dążeniu ku potędze. Bo gdyby wszyscy ludzie mieli kierować się takiemi kryterjami, to rozpętałaby się na całym świecie rzeź wzajemna, rozpętałyby się bestje ludzkie, które w dążeniu ku potędze wymordowałyby się wzajemnie. Taki byłby krwawy efekt „gorących uczuć ludzkich".

Dziwnym zaiste wydaje mi się sposób szczepienia kultury ogniem i mieczem. Wojna w Afryce Wsch. ma, według słów kol. „wyjść na dobre stronie pokonanej, bo na miejscu starych przesądów i braku kultury wyrośnie nowa, wyższa". Daruje kol., ale to nie wytrzymuje krytyki. Nie będę się specjalnie nad tą sprawą rozwodził, gdyż już było to poruszane w „Świecie Szkolnym", powiem tylko, że należy raczej być ostrożnym w ocenie stopnia kultury i zawsze pamiętać o tem, że kultura i cywilizacja, to dwa odrębne pojęcia i nie wolno ich mieszać ze sobą. To zaś, że my, Polacy, kierujemy się raczej sentymentem, niż rozumem w ocenie „twórczych wartości wojny" jest, powiem, dodatnią stroną naszej psychiki i wcale jej pod tym względem przebudowywać nie potrzeba. I właśnie w podejściu do tych spraw jest poczucie i to głębokie poczucie rzeczywistości, a nie jego brak. Zgadzam się z twierdzeniem kol., że należy czuwać i być zawsze gotowymi, ale to nie znaczy, że należy realizować swe idee ogniem i mieczem, bo istnieje tysiąc i jedna droga, prowadząca do równie szczęśliwej realizacji. Naturalną jest rzeczą, jeśli jesteśmy gotowi do odparcia najazdu zaborczych wojsk nieprzyjaciela. Bronić Ojczyzny musimy i jest to naszym świętym obowiązkiem, jest naszą szlachetną dumą zginąć dla niej, nigdy nie pozwolimy wydrzeć sobie najmniejszego skrawka jej ziemi, bronić będzie-

my granic do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia; zostawimy ją w spadku dziejowym przyszłym pokoleniom, nietkniętą, Wielką Polskę.

I nigdy, przenigdy nie przebudujesz, kolego, psychiki polskiego człowieka tak, by stał się zaborcą, który w imię miłości Ojczyzny wyrywa z piersi serca równą miłością tętniące, który szarpie dusze i rzuca w błoto jedynie dlatego, że stają mu w drodze do realizacji jego idei. Takiego człowieka w Polsce nie stworzysz! „I dziś, gdy inni inaczej się na te sprawy zapatrują, gdy dla innych jest wojna pewnym środkiem do celu prowadzącym, drogą do realizacji pewnych idei“ niech właśnie dla nas będzie owem „ohydnem monstrum, co dusi szyję i dech tamuje“. W ten właśnie sposób staje się „rzeczą oczywistą“, staje w całej nagiej prawdzie, nieprzesłaniana pięknemi frazesami...

My potrafimy być potęgą bez wojny też. Wojna nie jest owym poszukiwanym „złotym środkiem“, szukałbym go raczej w warsztatach pracy, nie na polu bitwy.

Każe nam kol. zacząć myśleć, „że pójdziemy na wojnę dobrowolnie, bo ktoś woła, ktoś, kto żywi, poto, by kiedyś ci, którzy po nas przyjdą, mogli przez pewien czas zażywać tego, czego myśmy dotąd zażywali: pokoju i, że kiedyś może na czas krótki, „zazielenią się nowe pola, zakwitną nowe łąki nowem szczęściem“.... Chciałem tylko zapytać, dlaczego ci, co przyjdą, będą zażywać nowego szczęścia *krótko*, przez pewien czas tylko? Wiecie, kolego, dlaczego?! Bo przyjdzie inny z „ideą potęgi, wypływającej z miłości ojczyzny jako wyłącznego uczucia“ i zabierze to wszystko jak swoje, a ludzi szczęśliwych zabije i ich idee rozpuści z jesiennym, wilgotnym wichrem, który hen, daleko zaniesie ich skargę, zaniesie płacz matek, kwilenie niemowląt, zaniesie jęki nieszczęśliwych do wrót, za któremi mieszka Sprawiedliwość. Tak, kolego, rozwiązanie kwestji mocarstwowego bytu nie leży w żadnym wypadku w dążnościach zaborczych, leży gdzieindziej i sądzę, że wszedłszy w życie zobaczy je kolega, przekona się, że tkwi ono, jak już mówiłem, w narodowej żywotności, w umiłowaniu rzetelnej pracy, a nie w umiłowaniu wojennych zbrodni. Takie jest moje odczucie tych kwestyj.

Zbigniew Szpigiel. VIII-a GPHS.

W sprawie naszych zainteresowań.

(Odpowiedź kol. Zbisławskiemu.)

Mam wrażenie, że tytuł „Nasze zainteresowania“ należało zmienić na „Moje zainteresowania“. Wówczas nie mielibyśmy nic do zarzucenia autorowi tego artykułu. Moglibyśmy wprawdzie dziwić się, że kolega pod takim właśnie kątem widzenia patrzy na świat, lecz mówić, że jest jednostronny i że nie przedstawia nam prawdziwej rzeczywistości, — nie mielibyśmy prawa. Ponieważ jednak tytuł brzmi: „Nasze zainteresowania“, zarzut powyższy mogę śmiało uczynić kamieniem węgielnym mego artykułu i ograniczyć się tylko do uzasadnienia i unaocznienia owego zarzutu.

Zdanie, że „wszelkie przejawy życia są rozpatrywane przez młodzież współczesną raczej pod materjalistycznym kątem widzenia“, nie jest pozbawione słuszności. Trudne warunki życiowe sprawiły, iż wielu z nas *uważa*, że ideał powinien przebywać w krainie niebiańskiej poezji, a nie zstępować na ziemię między utrudzonych pracą ludzi; lecz jakżeż duża część tych właśnie, którzy uważają się za materjalistów, jest w istocie przesiąknięta ideałami. Mam kolegę, który na pauzach teatralnym głosem opinjuje: „Życie jest ciężkie! Trzeba się rozpychać wśród tłumu łokciami. Co tam szlachetność! Ideał?... Phi! To dla poetów.“ (tu wskazuje na smętną postać klasowego poety) — a potem — „A ja uważam, że Polska Niemców pobije. O, ja marzę o tym tryumfie. Będziemy walczyć, jak lwy!!...“ Dalszych słów nie przytaczam. — Zbyt wiele w nich ognia, aby słowo pisane oddało ukryte w sobie uczucie.

Inny „materjalista“ wieczorem, kiedy powietrze pachnie maciejką, a w gęstwinie liści słowik śpiewa, pisze wiersze o „oczach chabrowych, jak bławaty i twarzy kwitnącej urodą, jak kwiaty“. Ten sam w zakonspirowanem kole twierdzi stanowczym głosem, że miłość — to tylko i wyłącznie zwierzęcy instynkt. Dawałem przykłady jaskrawe. Aby dać przykłady mniej jaskrawe, mógłbym wymienić 90 procent całej młodzieży.

Z tego wynika, że zdanie kolegi Zbisławskiego o tyle jest słuszne, o ile weźmiemy pod uwagę pozę, maskę, którą każdy z nas przykrywa zwykle swoją twarz. My bowiem *wstydzimy się swego idealizmu i swojej szlachetności.* Jeżeli nawet zwrócimy uwagę na ducha karjerowiczostwa, który panuje w sercach wielu, to ten w niektórych wypadkach tak jest przepojony marzycielstwem, że przestaje być materjalizmem.

Na marginesie tych wywodów pragnę poruszyć jeszcze jedną sprawę. Wszyscy, poczynając od najstarszych, a kończąc na najmłodszych, wmawiają w nas bez przerwy ten materjalizm. Obyśmy wkońcu nie uwierzyli w to!

Dziwi mnie ta lakoniczna obojętność, z jaką kolega potraktował ryczałtowo malarstwo, rzeźbiarstwo i poezję. Interesować się sztuką, to nie znaczy tworzyć, choć i tworzących w tej

dziedzinie wielu jest wśród nas. O zainteresowaniach młodzieży malarstwem i rzeźbą świadczą choćby wrażenia, jakich doznała niedawno nasza klasa, zwiedzając „Zachętę“ w Warszawie. Prawie każdy z nas miał coś do powiedzenia o obrazach, które widział, prawie każdy znalazł obraz, który mu się szczególnie podobał, prawie każdy z nas mógłby napisać cały artykuł o swoich wrażeniach. Czyżby nasza klasa była wyjątkowo „artystyczna“? Chyba nie!...

„To samo można powiedzieć o poezji“. Istotnie! Wystarczy przeglądnąć wszystkie gazetki szkolne, i kosze ich redakcyj, notesy i bruljony większości kolegów, a przekonamy się, że zdanie kolegi Zbisławskiego pozbawione jest słuszności. Wszak przysłowiowe są sztubackie wiersze. Wartość ich nie odgrywa w tym wypadku żadnej roli.

Sprawa trzech wieszczów wydaje mi się przejaskrawioną. Dysputy mogłyby raczej dowodzić tego, czemu chce kolega Zbisławski zaprzeczyć. Zdanie zaś o Słowackim (b. dosadne) należy do wyjątków. Niechęć ku romantycznej trójcy łatwo się da wytłumaczyć. Jesteśmy wszyscy nastawieni „contra forrentem“. Ponieważ ogół postawił poetów na piedestale, my chcemy ich z tego podwyższenia zrzucić. Jednakże to pragnienie nie jest tak rewolucyjne, jakby to wynikało ze słów autora krytykowanego artykułu.

„Jakie czytamy książki?“ Na to pytanie usiłował kolega dać odpowiedź. Usiłowania te, mam wrażenie, nie osiągnęły zamierzonego celu. Albowiem nawet statystyki niezawsze dałyby na to odpowiedź. Sprawa nie przedstawia się tak prosto, jak ją pojmuje kolega. Tytułami kilku książek zbyć tego nie można. Ogólnie, rzec mogę, czytamy *wszystko*.

Omawiając sztukę przemilczał kolega Zbisławski zupełnie muzykę. Dlaczego? Przecież na ten temat możnaby wiele powiedzieć! Czyż niema nikogo, ktoby interesował się muzyką, a nawet był jej oddany? O, nie! Wprawdzie wielu jest jej przeciwników, ale wielu też i jej gorących zwolenników. Fakt, że istnieją liczne orkiestry szkolne też chyba coś nam mówi. Jeżeli jednak kolega nie wierzy, że mogą być tacy, którzy kochają poważną muzykę, to, sądzę, uwierzy, że liczni są miłośnicy (zwolennicy raczej) muzyki nowoczesnej, oraz modnych przebojów, należących również do muzyki.

Sąd o zainteresowaniach nauką, zgodny poniekąd z moim, jest zbyt może ogólnikowy.

O polityce mówiłem już w artykule „Młodzież ma głos“. Dodam, że młodzież nie jest ani „prorządowa“, ani „opozycyjna“, gdyż nie ma swego sądu; poddaje się tylko nastrojom, zależnym od wielu, wielu rzeczy.

Przy omawianiu zainteresowań młodzieży nie została uwzględniona prasa młodzieżowa. Rola pism, redagowanych przez młodzież dla młodzieży, jest wielka. One bowiem budzą różnorodne zainteresowanie, śpiące często w nas. Pod ich wpływem powstaje chęć tworzenia poezji. Chęć ta, albo staje się rodnikiem prawdziwego talentu, albo rozpala przynajmniej ogień umiłowania poezji. To samo dotyczy się publicystyki. Konkursy, urządzane przez „Kuźnię Młodych“ i inne pisma, do których zalicza się nasz „Świat Szkolny“ (konkurs na najładniejszą okładkę, konkurs fotograficzny), wydają się zaprzeczać słowom, jakoby młodzież malarstwem się nie interesowała.

Recenzje teatralne, kinowe, muzyczne, radjowe nie wymagają komentarzy.

W krótkich słowach chciałbym coś powiedzieć o teatrze. Prawdziwych miłośników teatru, jako sztuki, jest mało. Ci jednak za to są dzielnymi rycerzami Melpomeny. Oni to urządzają przedstawienia szkolne, na które większość młodzieży zawsze uczęszcza. Oni to może stworzą kiedyś, będący dziś tylko marzeniem, Teatr Młodzieży Szkolnej.

Jak widzimy, zainteresowań jest tyle, że trudno powiedzieć, czem się młodzież interesuje; łatwiej byłoby powiedzieć, czem się nie interesuje.

Dlatego młodzież jest młodzieżą.

J. Czeszejko-Sochacki. GPHS.

Zabierającym głos w „Sprawie aktualnej“.

Dwie odpowiedzi, które otrzymałem na swój artykuł są tak skrajnie różne, że na każdą z nich odpowiem osobno, wobec czego artykuł ten będzie zawierał dwie części. Odpowiadać więc będę według kolejności zamieszczenia w „Świecie Szkolnym“.

Uwagi swe rozpoczął kol. Kopecky od wykazania mi sprzeczności w rozumowaniu. Ja znowu zacznę od wykazania koledze dyletantyzmu w potraktowaniu całej sprawy. Uwagi kol. K. zrobiły na mnie wrażenie, jakgdyby kol. K. doczytał mój artykuł do tego zdania, gdzie mówię „Polska powinnaby stanąć po stronie broniącej niepodległości Abisynji“, a potem przeczytał kilka zdań końcowych. Dalsza treść bowiem po wyżej wspomnianem zdaniu dementuje zupełnie tę rzekomą sprzeczność. Co do Katarzyny, inicjującej rozbiór Polski, to kol. K. sam doszedł do wniosku, że miała ona (ze stanowiska Rosji) rację, zagarnąwszy Polskę. Tem samem bowiem powiększyła Rosję, a każdemu władcy zależy, by państwo, którem kieruje, było jaknajwiększe.

W dalszym ciągu swych uwag wymalował nam kol. Kopecky wspaniały obraz o napadzie bandyty (Włoch) na biedną ofiarę (Abisynję)

i wykazał dalej (znowu obrazowo i argumentalnie) podwójną etykę, której wyrazem jest mój artykuł. Uwagi kol. K. zmusiły mnie do gruntownego przstudjowania słowa po słowie swego artykułu i, przyznam się koledze, że nigdzie nie mogłem zauważyć tej podwójnej etyki. Zato doskonale spostrzegam ją w postępowaniu państw europejskich względem Włoch.

Przed kilkoma laty Abisynja podbijała pod swe panowanie sąsiednie szczepy i plemiona. Europa wtedy wogóle nie reagowała, bo mówiono: „niech się tam dzicy biją“. Teraz zaś, gdy państwo włoskie, zmuszone warunkami, szuka drogi do utrzymania swego bytu przez podbój państwa napół-ucywilizowanego, tolerującego jeszcze niewolnictwo (!), a mającego przytem obszary zupełnie niezamieszkane, to ogłasza się takie państwo za nieetyczne, niehumanitarne, a w postępowaniu swem podobne... bandycie, maltretującemu swą ofiarę. Tak więc przedstawia się ta podwójna etyka w postępowaniu względem Włoch.

Uwagi swe kończy kol. Kopecky przerobionem, a źle zrozumianem wezwaniem, które, lepiejby było, gdyby się nie spełniło.

Zresztą, zdaje się, że do tego nie dojdzie.

Daleko głębiej i poważniej ujęła tę rzecz kol. Sanigórska, której szczególnie nie podoba się zignorowanie przeze mnie etyki, a gloryfikowanie egoizmu narodowego. Trochę dziwne jest, że kol. S. zabiera głos w tej sprawie tylko dlatego, że artykuł ten nie jest dziełem „jakiegoś wytrawnego polityka“, a tylko jakiegoś sztubaka z drugiej budy. Przecież każdy człowiek powinien mieć swe własne zapatrywania na daną sprawę, a nie patrzeć na nią przez szkiełka, jakie nam podadzą „wytrawni politycy“. Wracam więc do rzeczy.

O egoiźmie narodowym będzie mowa poniżej; teraz chcę tylko pokazać koleżance właściwe oblicze Ligi Narodów, w którą kol. S. tak bardzo wierzy. Dla lepszego wyjaśnienia przypomnę kilka faktów, które dobitnie zilustrują działalność Ligi Narodów. Przedewszystkiem w konflikcie japońsko-chińskim nic absolutnie Liga Narodów nie zdziałała. Japonja bowiem, widząc, że Liga Narodów tamuje jej rozwój, zdecydowała się na wystąpienie z niej. Do zamieszek w Indjach Liga Narodów wcale się nie wtrącała, bo tu miała głos Anglja; a Anglja, to pierwsza potęga świata. A jakie skutki wywołały ostatnio sankcje antywłoskie? Takie, że Włochy są już w przededniu ukończenia wojny, a państwa europejskie, które zastosowały sankcje, zostały narażone na dość poważne straty materjalne. Zresztą nikt już teraz nie łudzi się, by Liga Narodów mogła coś konkretnego zdziałać, i, by wogóle posiadała jakieś rozjemcze zdolności.

To wszystko, co do Ligi Narodów.

Dalej nie wierzy kol. S. w zdolności kulturalne Włochów. O tem łatwo się przekonać, biorąc do ręki jedną z ostatnich gazet, opisujących działalność Włoch na podbitych terenach. Pomijam budowę dróg, kanałów i innych rzeczy, ale np. zniesienia niewolnictwa nie można zaliczyć do nie-kulturalnej działalności Włoch.

Dalej następuje część, tycząca się Polski. Ten odstęp zupełnie nie zgadza się z rzeczywistością. Twierdzi kol. S., że nigdy nie ujawnialiśmy dążności imperjalistycznych. Gdybym koleżankę zapytał, w której epoce była Polska najpotężniejsza, to napewno otrzymałbym odpowiedź, że w epoce Jagiellonów. A czy wielkość Polski tej doby była ta sama, co naprzykład za Piastów? Nie! Skąd więc mieliśmy te terytorja?; czy były to jakieś zapisy, darowizny? Znowu: nie! Więc musieliśmy je sami wywalczyć. Z tego wniosek, że jednak dążenia imperjalistyczne były. Nie wiem tylko, z jakiego powodu jest kol. S. tak pacyfistycznie nastrojona? Czy z przekonania, czy też może jest to zwykły sentymentalizm niewieści?

Gromi następnie kol. S. naród włoski, biorąc za dowód jego przeszłe dzieje. Gdybyśmy w ten sposób myśleli, musielibyśmy schłostać nasz własny naród za to, że nie umiał utrzymać niepodległego państwa. Naród włoski jest teraz jednym z najlepiej zorganizowanych narodów. Ta zaś organizacja, choć pod twardą ręką „duce“ (też Włocha) dobrze może świadczyć o wartości Włochów. Z dalszej treści wynika, że kol. S. nigdy nie słyszała o rokowaniach przed rozpoczęciem wojny. Przecież sądzono nawet, że wysyłka wojsk włoskich do Afryki jest tylko straszeniem Abisynji, tak długo bowiem trwały rokowania.

Teraz kolej na egoizm narodowy. Aby go lepiej zrozumieć, niezbędną jest rzeczą poznać jego genezę. Postaram się to pokrótce wytłumaczyć.

Komórką, w której kształtuje się nasze życie wewnętrzne, jest zawsze nasze „ja“. Ludzie, łącząc się w większe społeczności, musieli część swego „ja“ poświęcić dla dobra ogółu. Tak więc powstał egoizm rodzinny, rodowy, szczepowy, plemienny i t. d. aż dochodzimy do egizmu narodowego, który jest zbiorem egoizmów społeczności mniejszych, te zaś składają się z egoizmów poszczególnych członków społeczności. Pominięcie egoizmu narodowego byłoby także pominięciem poszczególnych członków narodu, do czego nie można dopuścić. Jak więc widzimy, egoizm narodowy jest rzeczą bardzo ważną, jednak nie tak straszną, by miała to być przyczyna „wiecznych i krwawych walk“, niesprawiedliwości i t. p. Wręcz przeciwnie, egoizm narodowy był, jest i będzie promotorem wszelkich poczynań. Jemu zawdzięczają dorobek kulturalny inne państwa, które tylko egoizm pobudza do żywszej działalności. U człowieka egoizm, złagodzony do formy ambicji, jest rzeczą konieczną do rozwoju, tak jak do

rozwoju narodu jest potrzebne owo „bożyszcze“ egoizm narodowy.

Na tem kończę swą odpowiedź, wyrażając nadzieję, że kol. S. zrozumie teraz moje stanowisko.

S. Rybicki. VII-a GPRT.

Sen nocy letniej...

...Po niebie wyiskrzonem, niebie tajemniczem,
Przepływa cicho miesiąc — pielgrzym niestrudzony — —
Patrzę w otchłań bezdenną, gdzie gwiazd nie policzę,
Patrzę w otchłań milczenia i marzę i płonę...

Idzie do mnie z przestrzeni gwiezdnych wytęskniona
I wymodlona cichym, bezsłownym pacierzem
Noc ziszczeń przeogromna z słodkiemi ramiony...
I znowu na kolana padam — znowu wierzę...

W...

Żadne mię teraz nocne majaki nie straszą,
Ni grom, co smaga duszę wężami błyskawic —
Wracają te godziny słodkie, dobre, nasze
I baśń wiecznie ta sama, którą Miłość prawi...

U Twoich stóp usiądę i w ciemne źrenice
Patrzeć będę choć wieczność... a może wyczytam
Te najgłębsze, najskrytsze dla mnie tajemnice,
Czy kwiaty nocy ziszczeń pod słońcem rozkwitły.

T. K. GPHS.

Ja, Wiosna i Muzyka

(CZYLI ŻYWOT UCZENICY POCZLIWEJ).

Niema chyba nic lepszego, jak ciepła wiosna i dobra muzyka. Epikurejczyk powiedziałby zamiast tego: dobre wino i gorąca miłość — ale poco wywoływać wilka z lasu? — Sza — to „niedozwolone“. Załóżmy, że wino jest równe muzyce (kiedyś upiłam się muzyką), a wiosna — miłości. Wogóle, tak się jakoś wszystko łączy ze sobą!

Przypuśćmy, że jest bardzo ciepły wieczór wiosenny, i niebo jest jeszcze niebieskie z różanemi cieniami na krańcach; przeglądam program radjowy: ...18.15 — 18.45 Muzyka lekka i salonowa. — Poemat — Fibicha, Espana — Valdteufla, Chińskie Baśnie — Dreyera, Uwertura do „Lekkiej kawalerji“ — Suupego, Pieśń bez słów — Czajkowskiego, ...etc. Przerywam czytanie i wychodzę przed dom. — Niebo cudne, czyste, drzewa zielenią się pierwszemi soczystemi liśćmi; wsłuchuję się z nieopisaną radością w świergot pierwszych ptaków, a już zupełnie nieoczekiwane wzruszenie ogarnia mnie, gdy przypadkiem spostrzegam wtulone w trawę stokrotki. — No i jestem w kropce! Poprostu „osiołkowi w żłoby dano...“ (Sic?!). Muzyka? Hm, owszem, nie można powiedzieć, chciałabym posłuchać, i to nawet bardzo; a znowu z drugiej strony na dworze tak ślicznie. — I to kusi, i to nęci... Wszystko jakby się spiknęło na biedną uczenicę, żeby ją ze szczętem pogrążyć! W rezultacie z „ciężkim wzdychem“ kończę rozmyślania i włączam radjo. Jestem sama z półmrokiem wiosennego wieczoru i z muzyką. — Dźwięki wpadają mi prosto w duszę, tworząc tam nieopisany zamęt. W radosnym zapale słuchania ani się nie obejrzałam, jak obgryzłam kompletnie caluteńkie dwa paznogcie; ale zato tak mi dobrze, tak nieziemska radość mnie ogarnia — cała jestem konglomeratem dźwięków, które mi grają w sercu pieśń nad pieśniami, które przepajają mnie całą — to dzieło nietylko muzyki, ale i wiosny. W takich chwilach wstręt nieopisany budzą słowa: „Na tem kończymy naszą audycję muzyki lekkiej... itd.“ Biedny speaker ani nawet nie wie, jakie soczyste przekleństwo spadło na jego niewinną głowę. Ściemniło się już trochę, ale ponieważ „zapomniałam“, że na jutro zadanie matematyczne (łaciny oczywiście nie liczy się. — Jeżeli umiem wykrzyknąć: „Sardoniens ironiens“, „Saneta simplicitas“, albo na koniec „O horror, o coniunt!“ — to w zupełności wystarczy), więc wciskam beret na głowę i pędzę za miasto, albo trochę bliżej, zażywając rozkoszy wiosennego spacerku. Podczas przechadzki, od czasu do czasu błyska mi myśl ostrzegawcza o owej jutrzejszej matematyce, ale odrzucam ją ze zniecierpliwieniem i wyraźną odrazą. Wieczorem o 9-tej, układając książki, natrafiam na przeklęty zeszyt matematyczny i, jak na złość, widzę napisane wielkiemi „wołami“: na czwartek zadania 295, 296 a i b, 297 b, a z boku ostrzegawczy dopisem: „w czwartek będę już napewno odpowiadać, muszę się porządnie nauczyć“. Przenika mnie lekki dreszczyk, ale zamykam prędko zeszyt i... idę spać. Nazajutrz rano wstępuję przykładnie do kościoła i modlę się z głębi ścierpniętej duszy, żeby Bóg dozwolił mi nie odpowiadać z matematyki, a już w razie konieczności odpowiedzi, żeby mi Duch św., chociaż przy tablicy użyczył „ochoty i dobrej pamięci“...

...Przy obiedzie...

— „No i cóż tam, jak ci w szkole dziś poszło?“

Odpowiadam, że nic, że wszystko dobrze. Ale w głębi mózgu świdruje mi uparcie myśl, że przeprowadziłam apotemę ostrosłupa ściętego od jednego z wierzchołków do środka podstawy, że stwierdziłam, iż pole trójkąta foremnego o boku a, jest równe $\frac{a\sqrt{3}}{2}$, i że... powędrowałam na miejsce z potężną dwója. Dumam nad przewrotnością nauczyciela do 4-ej po poł. O 4-ej piszę list do siostry: „...dostałam dwóję; właściwie to temu winna jest wiosna, ale ona (wiosna, a nie dwója) jest taka rozkoszna, że przebaczę jej nawet takie niesmaczne figle! O jej, o rety, o jej (reminiscencje z „Prometeusza schowanego" — Ajschylosa) zawyła pewna mityczna osoba, gdy ją ukąsił bąk, czego i tobie z całego serca życzę, twoja... i t. d." To już ostatnie echa owej dwói. O 5-ej słucham z zapartym oddechem Hebryd — Mendelsohna. Ta najpiękniejsza uwertura wynagradza mi wszelkie nieszczęścia żywota uczniowskiego.

„Ka-Wu". PGJS.

NA SPISZU.

(WSPOMNIENIA Z KURSU KRAJOZNAWCZEGO).

Przed szesnastu laty toczyła się ostra walka słowna między przedstawicielami Polski i Czechosłowacji. Chodziło o sprawiedliwe poprowadzenie granicy na Spiszu, gdzie jedynymi mieszkańcami są Polacy. Stało się inaczej. Większa część Spisza została przyznana Czechom. Jest to niewątpliwie krzywdą dla nas i dla naszych rodaków, mieszkających na pograniczu. Ci bowiem mają swe pola i łąki zagranicą, domy zaś w Polsce. Zagranicą wypasają bydło, zagranicą pot ich użyźnia ziemię, zagranicą znajdują pracę i chleb. Nie można więc się dziwić temu prostemu ludowi, że serce żywiej mu bije ku tamtej stronie, ku Czechom.

Zorganizowany w sierpniu ubiegłego roku kurs krajoznawczy na tej spiskiej ziemi miał za zadanie nawiązać serdeczne stosunki ze Spiszakami, spoić silnemi węzłami miłości z Macierzą, od której się oddalają. Na kurs ten zjechała młodzież z całej Polski. Byli przedstawiciele Wileńszczyzny, Wołynia, Podkarpacia, Śląska, Warszawy, Krakowa, Łowicza, Poznania i Częstochowy. Wszycsy ci młodzieńcy zjechali się do Krakowa, aby stąd wyruszyć do Jurgowa, pełni zapału do wzniosłej pracy, tak naukowej, jak i społecznej. To też wystarczyło kilka chwil rozmowy, aby serca zapłonęły wzajemną sympatją. Braterstwo ducha silniej spaja ludzi, niżli związki krwi.

Zapału, płonącego w młodocianych piersiach, nie ostudziło uciążliwe całodzienne zwiedzanie Krakowa.

Nazajutrz wyruszyć mamy do Jurgowa. Na dworcu krakowskim niemożliwy tłok, setki ludzi oczekuje nadejścia pociągu do Zakopanego. Czekamy i my. Ciężko sapiąc wtoczył się na peron, lecz już jełen pasażerów. Szturmem zdobywamy miejsca. Przez okno wrzucamy walizki, plecaki, a następnie uczynni koledzy spieszą z pomocą, dzięki której w trzech sekundach byliśmy w przedziale.

Stojąc dojechaliśmy szczęśliwie do Nowego Targu, po sześciogodzinnej, niezbyt przyjemnej jeździe. Odetchnęliśmy z ulgą. Ale tu nowy kłopot z wozami, któremi mamy jechać do Jurgowa. Odrazu jednak olśniła nas piękna kraina górska. Dookoła ogromnej równiny wznoszą się dumnie ciemnoszare szczyty. Na południu Tatry, na wschodzie Magura Spiska i na północno-wschodzie Pieniny. Objaśnia nas góral, ża „hań" na południe, prosto w najwyższy szczyt po stronie Czeskiej Hawrań, leży Jurgów. Pełni nadziei, że podróż nie potrwa dłużej, jak godzinę, zaśpiewaliśmy raźno piosenkę krajoznawczą:

Kto chce żyć wesoło, mile spędzić czas,
Niech się krajoznastwem z nami zajmie wraz,
Wnet odnajdzie humor, zniknie smutku ćma
I powie, że życie wielką wartość ma.

A na to wtrącił jeden z kolegów: „Tak, tak, ale nie ma wartości na tej wyboistej drodze, już dwa razy ugryzłem się w język". I rzeczywiście. Skończyło się na tej pierwszej zwrotce i już z językiem za zębami, a z oczyma szeroko otwartemi, odbywaliśmy dalszą podróż. Minęła wreszcie godzina, minęły już dwie, a Hawrań jak daleko stał, tak stoi. Z niecierpliwością wyskakujemy z wozów i idziemy pieszo.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedyśmy doszli do Jurgowa. Na wstępie wita nas dzwon na Anioł Pański. Jego srebrzysty ton długo odbija się o szczyty mniejszych pagórków i ulatuje ku niebu. A Białka roztrącając się o kamienie, szumi i śpiewa nieznanym językiem swą pieśń. Pozatem panuje zupełna cisza. Z turkotem wjeżdżamy do wsi. Schronisko nasze, do którego zdążamy, leży na końcu wsi. Nazajutrz, a była to niedziela, udaliśmy się do kościoła na Mszę św.

Kościółek dość miły. Oczy aż bolały od patrzenia na kolorowe stroje naszych górali, którzy szczelnie wypełnili wnętrze kościoła. Po nabożeństwie zrobiliśmy kilka zdjęć i przy okazji zawiązaliśmy serdeczne pogawędki.

Mile zaskoczyło nas to, że górale prosili nas do swych domów, na popołudnie. Skorzystaliśmy chętnie z zaproszenia i we dwójkę lub trójkę chodziliśmy w odwiedziny.

Gospodarze przyjmowali nas z radością i

częstowali czem mogli. Rozmawiając i obserwując górali, przekonaliśmy się, że są oni ludźmi mało wymagającymi. Jeżeli się porówna pracę górala i naszego wieśniaka, to bezwzględnie musimy przyznać, że praca górala jest o wiele trudniejszą i mozolniejszą. A mimo takiego trudu, ma tak mało chleba, a jeśli go ma, to suchy. Górale cały rok masowo wstrzymują się z konieczności od mięsa z wyjątkiem wielkich świąt. A mimo tego są ludźmi zdrowymi, silnymi i dziękują Bogu i za te dary. Jurgowianie są małorolnymi gospodarzami. Przeciętny gazda ma 5 — 6 mórg ziemi, prowadzi gospodarkę trójpolową. Stosunki gospodarcze były jednem z tych zagadnień, które opracowywaliśmy. Praca dość ciężka, bo wymagająca ścisłych danych i gruntowności. Niemniejszą mieli pracę inni koledzy, przydzieleni do prac o budownictwie, ludności, przyrodzie i t. p. Codziennie około godziny 9-tej rano wyruszaliśmy w teren, zaopatrzeni w notatniki, aparaty, bloki, no i w miny radosne i zadowolone. Szliśmy do domów, na pola i łąki, wszędzie nawiązując rozmowy z ludnością miejscową. Praca to nie tak łatwa, jak się napozór zdaje. Nie można tak odrazu przystąpić do obcego człowieka i powiedzieć: „Słuchajcie-no, chciałbym wiedzieć, jak wy obchodzicie to a to święto, czy też ile dziennie czy rocznie zarabiacie?".

Nie. Człowiek taki, usłyszawszy to, zraziłby się i z niechęcią odpowiadałby na zadawane pytania, lub wcale nie udzieliłby informacyj. Do prostego człowieka trzeba inaczej podejść, trzeba tak pokierować rozmową, by on sam nam opowiedział to, o co nam chodzi. Udzielający informacyj nie może się też przeląknąć naszego ołówka i notatek. A jest to rzeczą dość trudną. Odbywanie takich wywiadów jest też niezmiernie męczące tak dla pytającego, jak i odpowiadającego. Około południa ściągaliśmy rozpromienieni do naszego schroniska.

Jest plon obfity, a śmiech brzmi wkoło,
Bo gdy się uczyć, to na wesoło.
Ten spisał wesele, a tamten chrzciny,
Mnóstwo notatek, radosne miny.

Najprzyjemniejsze były wieczory. Kiedy bowiem była pogoda, wychodziliśmy na brzeg Białki, gdzie rozpalało się ognisko. Tu właśnie, w blasku płomieni, czuliśmy się bliscy sobie, razem śpiewając, żartując, jednako myśląc i czując. Wśród wybuchów radości rychło przechodził wieczór. Ognisko dogasało. Noc się zbliżała. Tak było codzień. Pracowaliśmy z niesłychanym zapałem i energją. A im dłużej żyliśmy z ludem, tem lepiej poznawaliśmy jego cechy, jego hart woli i ducha, tem więcej kochaliśmy go i z tem większą czcią odnosiliśmy się do niego. I tak w ciągłej pracy, a pracy znojnej, lecz przynoszącej wewnętrzne zadowolenie płynęły nam dni i zbliżał się szybkiemi krokami termin naszego wyjazdu.

Ostatnie dni upłynęły nam nieswojo; czuło się, że trzeba wyjeżdżać, pożegnać raz na zawsze tych ludzi i kolegów, z którymi się tyle miłych chwil spędziło. W wigilję naszego odjazdu zaprosiliśmy wszystkich Jurgowian nad brzeg Białki, gdzie rozpaliliśmy ostatnie ognisko. Następnego dnia głuche milczenie zaległo całe schronisko. Po obiedzie plecaki na plecy i w drogę. Na końcu wsi pożegnał nas w serdecznych słowach ks. proboszcz, podnosząc nasze umiłowanie ludu, no i chwaląc zachowanie. — Jeszcze kilka razy odwracaliśmy się ku Jurgowie, idąc do Zakopanego, skąd pociągiem wyjechaliśmy do Krakowa.

Zakończyliśmy ten I. męski kurs krajoznawczy modlitwą dziękczynną w kościele N. M. Panny. Stąd rozeszliśmy się we wszystkie strony, po całej Polsce, z prawdziwym żalem za minionemi chwilami i z wewnętrznem zadowoleniem w poczuciu spełnionego obowiązku.

M. Ciesielski,
Koło Krajoznawcze przy I GPHS.

Na dzień Matki.

Pamiętam ją jak dzisiaj... Tak, włos miała siwy,
Jasny, miękki jak jedwab, pogodę na twarzy
I miała dla mnie zawsze uśmiech dobrotliwy,
Którym jedynie miłość, albo mądrość darzy.

Jednak najmilsze dla mnie o niej jest wspomnienie
Oczu jej szarych, dobrych, pełnych zrozumienia.
I otucha w nich była, dobroć, przebaczenie...
Jakże mi często dzisiaj brak tego wejrzenia!

A choć ręce już miała i słabe i drżące,
Dla mnie jeszcze umiała swój uścisk zachować.
Jak wiele dałbym dzisiaj, bym te kochające,
Te drogie, starcze ręce mógł raz ucałować!

I choć raz jeszcze odczuć to serdeczne ciepło,
Które tylko matczyny daje pocałunek.
Już mi dusza oziębła, już i serce skrzepło...
Więc tylko w jej ramionach znalazłbym ratunek.

I gdyby na jej piersi spoczęła ma głowa
I gdybym mógł wypłakać wszystkie swe cierpienia...
Lecz nigdy się nie cofa lat życia połowa...
Nigdy czas swego biegu według nas nie zmienia.

Więc tylko w swych wspomnieniach tę postać świetlaną
Mogę chować przez życie. Bo człowiek pamięta
Na zawsze postać matki, najdroższą, kochaną,
A miłość do niej — cenna, jak relikwja święta!

W. R. Gimn. SS. Naz.

AVE MARIA.

Ave Maria — Bądź-że pozdrowiona
Ty, która bierzesz Dzieciątko w ramiona,
Ty, która jesteś kryniczną ochłodą...
Tak dawno jesteś, a tak jesteś młodą!
Ave Maria — Króluj-że nad nami
Ty, która bierzesz Dzieciątko rękami,
Jak śnieg białemi lub świętych leluje.
Niechże twa świętość nad nami króluje!
Ave Maria — Bądź błogosławiona
Ty, co wyciągasz nad nami ramiona,
Ty, co królujesz nad nami przez wieki,
Ty, co nas bierzesz pod swoje opieki.
Ave Maria — Tyś piękna jak kwiecie...
Chociaż na ziemi wciąż huczą zamiecie,
Ty ciągle będziesz królować nad nami,
Więc pobłogosław nas swemi rękami.

H. Urbanowicz. GPHS.

O niektórych rzadkich roślinach
okolic Częstochowy.

Każda kraina geograficzna, każdy niemal zakątek kraju naszego posiada swoje właściwe osobliwości ze świata flory. Niektóre z nich są powszechnie znane, choć wielu z nas nigdy ich w życiu nie widziało. Wszyscy bodaj słyszeli o tatrzańskiej szarotce, wschodnio-karpackim różaneczniku lub o nadmorskim mikołajku. Inne jednak, niemniej ciekawe rośliny, mniej są znane, bo nie odznaczają się najczęściej pięknym wyglądem, nie zwracają na się (na szczęście) uwagi turystów.

Ze względów naukowych wszystkie rzadkości roślinne można podzielić na trzy grupy: I-sza — Endemizmy, t. j. gatunki, spotykane tylko w danej okolicy i nigdzie więcej; II-ga — gatunki reliktowe — występujące poza granicami normalnego zasięgu; i t. zw. typy stare, rosnące w całym kraju, nieraz nawet na całym kontynencie, wszędzie jednak bardzo nieliczne.

Ziemia częstochowska nie jest pod tym względem bynajmniej upośledzona. Posiada ona właściwe osobliwości florystyczne, o których na tem miejscu wspomnieć mam zamiar.

1) Wśród nich pierwsze miejsce zajmuje cis (Taxus baccata L.) Jest to drzewo iglaste, często jednak mające postać krzaka. Igły grube, lancetowate, grzebieniasto osadzone, są jadowite; ukłucie niemi może czasem spowodować śmierć. Roślina ta, rosnąca niesłychanie wolno, osiąga niekiedy sędziwy wiek; niedawno zrąbano w Niemczech (jak zwykle na handel) cis, którego wiek oceniano na 1,300 lat! W powiecie naszym cisy żyją w lasach państwowych, leśnictwo Połamaniec. Jest ich tam około 200 sztuk, otoczonych troskliwą opieką leśniczego L. P. p. Stoczka. Dawniej pospolity, cis został dziś niemal doszczętnie wytępiony, powodem tego była wielka użyteczność tego drzewa. Ma ono drewno niezwykle twarde, a po wygładzeniu przybiera połysk prawie szklisty. Nadaje się więc wybornie na wyroby tokarsko-stolarskie. Rąbano też je nieopatrznie w myśl przysłowia „Nie było nas — był las, nie będzie nas — będzie las“.

2) Inną rzadkością, botanicznie może jeszcze ciekawszą, jest wąkrota (Hydrocotyle vulgaris L. Niepozorna ta roślinka należy do rodziny baldaszkowatych. Maleńkie kwiatuszki barwy różowej nie odcinają się zbyt wyraźnie od liści i podłoża, to też wąkrotę poznajemy po jej charakterystycznych tarczowatych, lekko wrebnych liściach. Rośnie najczęściej na stanowiskach mokrych, często w towarzystwie mchu płonnika.

W okolicach Częstochowy rośnie wąkroto w pasie pomiędzy Ostatnim Groszem a Herbami oraz wyspowo we wsi Borowa gm. Miedźno. Jest to wielka rzadkość florystyczna, wymagająca ochrony na każdem stanowisku.

3) Któż z nas będąc w Zakopanem nie widział, lub przynajmniej nie słyszał o dziewięćsile (Carlina)? Rysowany na ornamentach, wyszywany na guniach i spodniach góralskich, rzeźbiony przez nich na tacach, kasetkach itp. jest dziewięćsił obok szarotki bezsprzecznie najpopularniejsza roślina Tatr. Fałszywie nieraz „ostem“ zwany, jest doń jednak nieco podobny z powodu kłujących liści.

Rozróżniamy dwa gatunki dziewięćsiłu: pierwszy Carlina vulgaris L. wszędzie mniejwięcej występuje, podczas gdy drugi, znacznie piękniejszy C. acaulis L. Oogranicza się do gór. To też odkrycie go w okolicach Częstochowy było przez botaników rozmiacie komentowane. Przeważyło wkońcu zdanie, że przywędrował on tu wzdłuż pasma Jury Krakowsko-Wieluńskiej, łączącej się pośrednio z Karpatami, a mającej budowę geologiczną bardzo podobną do budowy zachodniej części Beskidu. Olsztyn i Rębielice Królewskie gm. Popów, oto stanowiska dziewięćsiłu w powiecie częstochowskim. Zaznaczyć przytem należy, że dziewięćsił stał się rzadkim, dzięki nierozumnej manji kolekcjonowania osobliwości, spotykanej u wielu turystów. W okolicach Zakopanego np. piękna ta roślina została wyniszczona niemal zupełnie.

Jest jeszcze kilka innych osobliwości roślinnych naszej ziemi częstochowskiej, lecz o nich

z braku miejsca, rozpisywać się nie będę. — Chciałbym tylko zaznaczyć, że rośliny te, jako rzadkie, bezwzględnej też wymagają ochrony. To też chyba nikt z miłych czytelników nie będzie niszczył wyżej wymienionych gatunków. Nie niszczmy największej ozdoby każdego krajobrazu! Pamiętajmy, że po nas przyjdą pokolenia, które też przyrodę badać będą. Czyż nie będą się musiały wstydzić za nas, tak jak my dziś wstydzimy się za tych naszych przodków, co wyniszczyli cisy i limby, co wystrzelali przedwcześnie tura i żubra? Nie dawajmy wkońcu samym sobie świadectwa ludzi małokulturalnych, bowiem takim jest każdy, który nie chce, lub nie umie uszanować tworów przyrody! Dlatego to, kończąc tych kilka słów, zwracam się do wszystkich czytelników z gorącym apelem, aby znalazłszy kiedyś stanowisko jakichś rzadkich roślin, byli łaskawi zakomunikować o tem Gimnazjalnej Sekcji Ochrony Roślin (państw. Gimn. H. Sienkiewicza) na moje ręce, za które to informacje bardzo będę wdzięczny. Pamiętajmy bowiem, że tylko wspólna praca, wspólny wysiłek wielu miłośników roślinności ojczystej może w danym wypadku przynieść pozytywne rezultaty.

Wł. Matuszkiewicz. III-a GPHS.

Dziwna bajka.

— Widzisz, jak mienią się i gasną ostatnie blaski zachodu? Nadchodzi szara godzina...

— Słyszysz, jak szemrze wiatr wiosenny?

— Cyt... czy nie słyszysz nic? — Tam, za oknem, wiatr przysiadł na świeżo rozkwitłej jabłoni; kołysze się na gałęzi, zagląda do pokoju i cicho gada coś do nas... Przysuńmy się bliżej do okna, i siedźmy cicho, cichutko — i słuchajmy bajki dziwnej, którą nam wiatr gada.

„...Najmądrzejsi lekarze zwątpili, czy zdołają uratować księcia. Nieznanej, dziwnej choroby, w którą zapadł, nic nie mogło usunąć. Książę leżał całemi dniami bez ruchu, wpatrując się czarnemi oczyma gdzieś przed siebie, zmieniony, blady, obojętny na wszystko. Nocą sen nie spływał na umęczoną jego głowę, choć najsławniejsi harfiarze grali mu bezustannie słodkie kołysanki. Gasnął z dnia na dzień.

Wreszcie poradzili lekarze, aby księcia wywieźć z pałacu do małego, cichego domku w głębi lasu; może tam żywiczne, zdrowe powietrze go uleczy?...

I oto na rozesłanych skórach niedźwiedzich leży chory książę i zda się nie widzieć i nie słyszeć niczego, wpatrzony w przestrzeń daleką. Siedzą przy nim mędrcy-lekarze, chwieją siwemi głowami bezradnie.

Przez okno otwarte wpływają mocne wonie lasu i dzikiego kwiecia. Zorza wieczorna świeci złotym blaskiem między konarami drzew i sieje wszędzie ciszę wielką, ukojną.

Wtem — gdzieś blisko, zza drzew, młody, jasny głos ozwał się pieśnią radosną jakąś i życia pełną. — Porwali się z gniewem lekarze: Któż to mąci spokój choremu księciu?! Wybiegli dworzanie, by ująć tego śmiałka. Lecz stała się rzecz dziwna: książę podniósł nagle głowę i pierwszy raz od czasu swej choroby przemówił: — „Niech śpiewa“. Poczem znów opadł bezsilnie na posłanie.

Zdumieni lekarze wyszli, by rozkaz wypełnić i wprowadzili za chwilę nieznanego śpiewaka. Była to młoda dziewczyna o złotawych włosach i głębokiem spojrzeniu szarych, ogromnych oczu.

Weszła, a z nią wpłynął żywiczny oddech boru i ziół leśnych. Zbliżyła się do księcia i stanęła przy nim. Po chwili zwróciła się do rzeszy dworzan i lekarzy i rzekła: — „Odejdźcie — ja go uleczę“. Taki był spokój i siła w jej głosie, że wszyscy, poszeptawszy chwilę, odeszli, kłaniając się głęboko przed księciem.

Schyliła się nad nim powoli: — „Książę... usłysz mnie, książę...“.

Zwrócił na nią czarne, gorejące oczy. — „Czekałem na ciebie. Przyszłaś...“

Stała przed nim cicha i jasna. Blaski gasnących zórz oblewały płomieniem jej twarz, rozświetlały włosy.

Stojąc w różowej, bladnącej zwolna smudze, z oczyma utkwionemi w bladą twarz księcia, zaczęła śpiewać.

Śpiewała o świecie innym, cudnym jak zjawa senna, gdzie kwitną białe, wonne drzewa i kwiaty jasne, gdzie jest wieczna radość i wesele, gdzie uśmiech panuje słoneczny.

Śpiewała o śnie człowieka — dawnym, odwiecznym, co niepostrzeżony lekko obok przechodzi, a tylko przeczuć, odgadnąć i schwytać go trzeba, by się jawą stał szczęśliwą.

Śpiewała o szczęściu wyśnionem, jedynem, które duszę z więzów ciała uwalnia i unosi gdzieś hen — pod niebo.

I o czekaniu długiem w tęsknocie bolesnej, czekaniu, co się kończy radością wielką, w której łzy z uśmiechem się splatają...

Cień wieczoru mieszać się począł z opalowym brzaskiem księżyca, co wstawał z za gór i przez okno zaglądać począł.

Głos, drgający mocą i słodyczą ogromną, cichł zwolna...

Gdy umilkł, przez pokój przesunęły się dwa cienie, splecione uściskiem. Bezszelestnie uchyliły się drzwi, niby brama zaklęta, na inny, cudny świat...

Po długich, bezowocnych poszukiwaniach,

na tron książęcy powołano brata zaginionego księcia..." —

Taką bajkę dziwną wiatr nam gada... Skończył już. A teraz tylko szumi z cicha, jakby echem tej pieśni o szczęściu i najczystszym, odwiecznym śnie człowieka...

— Czy słyszysz?

L. C.

UŚMIECHNIJ SIĘ!

Plecie się z dobrą dola zła,
Dzień po dniu mija, ginie, mknie,
W twem sercu wiara niechaj trwa—
Uśmiechnij się!

Jesteśmy młodzi. Mamy serca pełne szczytnych marzeń i dążeń. Powinniśmy mieć nadzieję i wielką, niezłomną wiarę w ich spełnienie.

Czemu już teraz w duszach naszych rodzi się pesymizm, smutek i cicha rezygnacja ze szczęścia?

Przecież przed nami życie. Długie życie, przez które w walce o lepsze jutro musimy iść uśmiechnięci, radośni, wierzący w siebie i w swe siły.

Śmiejmy się. Bo poco już i tak szare życie czynić jeszcze bardziej szarem, nieznośnem?

Śmiejmy się, choć nawet w sercu ból, bo może nasz uśmiech w tej chwili będzie komuś potrzebny?

Cieszmy się każdą drobnostką i szukajmy szczęścia w naturze.

Słuchajmy! Czy nie wieje ku nam urok i czar cudnej, polskiej wiosny? Czy nie napełnia nas weselem?

Czy nie każe nam szeptać z uśmiechem: „Jaki świat piękny, piękny"...

Tak! Umiemy się cieszyć, jak dzieci, ale... nie chcemy, bo my szukamy radości tam, gdzie jej wcale niema.

Trzeba ją umieć wykrzesać z życia, rozdmuchać w wielki płomień, a ona rozzłoci nam życie i będzie z nami zawsze, zawsze.

Uśmiechnijmy się wszyscy radośnie!

J. N. „Nauka i Praca".

Wędrówka na Olimp.

Olimp — szczytne miano, teraz jednak jako siedzibę obrali sobie bogowie dom magistracki. Ostatecznie nie dowodzi to niczego, pozostaną bogami w dalszym ciągu, a ja tylko — kaczką. Zastrzegam to sobie wyraźnie, ażeby ktoś z odwagą równą kol. Mireckiemu nie nazwał mnie pelikanem, czy innym lotnym ptakiem, gwoli radości gawiedzi. Jestem więc sobie zwykłą, domową kaczką, która uczyniła cokolwiek więcej, niż jej imienniczka u kol. Zeidlera, weszła bowiem, nietylko na dom, ale aż na Olimp i choć tam nabawiła się niemało strachu, nie spadła jednak na głowę i dotąd kroczy spokojna wśród grona innych półgłówków.

A więc, jak powiedziałam, kaczka weszła na Olimp, ażeby swym wrzaskiem niepokoić bogów, spijających nektar. Weszła — i jako że była ciekawa, zerknęła w prawo, w lewo. Aż tu nagle coś ciężkiego spadło jej na głowę. Pac! Konie o linjach aerodynamicznych i oślich głowach wskoczyły wraz z walącym się furgonem istot, imitujących żydów, na biedny łeb kaczy. Biedna kaczka wrzasnęła tylko wielkim głosem i pobiegła dalej, aż tu stado zielononiebieskich, żółto nakrapianych krów w formie szczupaków, jak nie syknie! Uff... „Wszelki duch Pana Boga chwali". Biedaczka nadepnęła sobie lewą nogę na prawą i naodwrót, aby się przekonać, azaliż nie jest to sen. „Oto drzeworyty współczesnych nam malarzy" — słyszy objaśnienie. To ją uspakaja. Dąży dalej, obrzucając wzrokiem pełnym zrozumienia i współczucia jakąś pociesznie wykrzywioną postać. „Oho, jakiś nieszczęśliwy prelegent, lub poseł sejmowy". — Objaśnienie: „Arcydzieło sztuki przedstawia nieszczęśliwą kobietę. Słodycz jej twarzy zdolna jest poruszyć każdego". Panie, ty widzisz słodycz jej twarzy!!!

Pierwszy salon minęła dość prędko, podziwiając wykwintności stylu ceramiki współczesnej. Z takich dzbanów, stojących nawet ku ozdobie, kaczki, czy pogardzane gęsi nie pijają. Wreszcie odpoczynek, maleńki gabinet reprodukcyj Chełmońskiego. Aż tu znów ciągną biedną kaczkę do następnego pokoju, gdzie rezyduje „Szkoła Warszawska", a wśród niej „króluje" p. Umińska. Ujrzawszy jej pana z cylindrem, przysiadła aż biedaczka. Oto, co znaczy ekspresja i myśl przewodnia. Piękny odcień tęczy, rzucony na twarz, wraz ze wspaniale błyszczącym cylindrem, dają prawdziwą ucztę duchową. To samo piorunujące wrażenie czyni tejże pani Umińskiej „Karuzela" i „Widok charakterystyczny" z jakiegoś miasteczka. Owa pani hołduje uproszczonym linjom, nie powinniśmy się więc dziwić, że człowiek, dajmy na to, ogranicza się do prostokąta większego, czterech mniejszych (nogi i ręce) oraz kuli z dwoma kropkami i kreseczkami (czasem zamiast kuli używa się gruszki). Prawdziwą jednak przyjemność uczyniła kaczce głowa „Starego człowieka" i „Stroju". O tych obrazach można powiedzieć bez ironji, że są obrazami artystów malarzy. Drugi Salon, to Krakowski (właśnie ów Salon) i obrazy malarzy paryskich. Ci ostatni hołdują kolorowi. Twarz siostry któregoś

tam miłego artysty służy jako świadectwo skrzyżowania wszystkich ras, a uśmiech jest taki, jakimby sobie życzył go widzieć kol. Urbanowicz. Fałszem śmiechu szczęście trzeba brać („a dalszy rym, ażeby nie wpaść w lepką maść“...). Scena z Hamleta. Kaczka słyszy niemal jęk obracającego się w grobie Szekspira. Przekupka z za Żelaznej Bramy o buraczanej twarzy z zielonem przybraniem na tle ruiny drapacza chmur (zapocona Ofelja) wywołuje głębokie wrażenie na widzu. Dalej widzi kaczka wynędzniałego młodziana, który przemierza długim krokiem zarośla. „Bezrobotny“ — jęknęła współczująco. A głowa cukru (t. j. uproszczona linja głowy owego młodziana) uśmiechnęła się kpiąco. „Oto Djana łowczyni“... Biedna kaczka zadławiła się aż i ujrzawszy trzy zielone, postrzępione parasole, imitujące drzewa, a pod niemi figurki zprzed 6-ciu tysięcy lat — miała dość. Z głośnym kwakiem wyfrunęła, wybijając szyby. „Ratuj, kto może!“.

P. S. Kto chce ujrzeć to wszystko, co owa nieszczęśliwa kaczka, niechał się uda na Wystawę malarzy współczesnych. *A. H.* Nazaret.

Wśród artystów.

Straszna pogoda. Wśród fal deszczu gdzieniegdzie przewijał się przechodzień pod parasolem, szybkiemi krokami zdążając ku domowi. Ja, z ołówkiem i notesem w kieszeni, śpieszyłem do teatru, by zrobić mały wywiad dla „Świata“. Dwie załzawione latarnie naprzeciw wejścia oświetlały schody, szare kolumny i czerwony gmach. Znalazłem się w poczekalni. Cicho i ciepło. Dalej jednak drzwi zamknięte. Pukam. Ktoś otwiera i z ciemności wychyla się głowa, pytając: — „A pan do kogo?“

— „Czy jest pan dyrektor?“ Właśnie on sam nadchodzi.

Tajemnicza głowa zwraca się do niego, meldując: — „Panie dyrektorze, sztubak ma jakiś interes do pana“. Pan dyrektor, człowiek postawny, przyciągający swym wyglądem, zwraca się teraz wprost do mnie: — „Proszę, pan w jakiej sprawie?“ Przedstawiam się i mówię, że chciałem zrobić wywiad dla „Świata Szkolnego“, że „Świat Szkolny“ to pismo uczniowskie, poświęcone sprawom szkolnym (tu trochę zbujałem) i t. d. „Czy to jest tygodnik, czy miesięcznik?“ — zapytuje mnie p. dyrektor. To było pytanie, którego nie przewidziałem. Sam nie wiedziałem, czy „Świat Szkolny“ jest miesięcznikiem, bo tygodnikiem to napewno nie. śmiało powiedziałem, że miesięcznikiem (ale to redakcja winna, że niewiadomo, czem jest „Świat Szkolny“).

Teraz p. dyrektor prowadzi mnie do swojego gabinetu. Wchodzimy za kulisy. Pełno tu dekoracyj, stoją reflektory, rzucające kolorowe światła na scenę i kilku ludzi porusza się bezszelestnie, ponieważ teraz „idzie“ komedja Kiedrzyńskiego. Ze sceny dolatują do mych uszu głosy aktorów. Idę dalej za p. dyrektorem. Wchodzimy w korytarz. Po obydwóch stronach drzwi. Pierwsze prowadzą do rekwizytorni, a przeciwległe do pokoiku elektromontera. Reszta, to garderoby artystów. Jedna z nich była akurat otwarta. Przy lusterku siedzi p. Wybrański i charakteryzuje się. Na ścianie wiszą ubrania.

Pokoiki to wąskie, wysokie. Ostatnie drzwi są opatrzone dużym napisem „Dyrekcja“. Te drzwi otwiera p. dyrektor i znajdujemy się sami. Zaczyna się wywiad. Siadam naprzeciwko p. dyrektora w miękkim fotelu i rzucam pierwsze pytanie:

— Jak się przedstawia repertuar teatralny na najbliższą przyszłość?

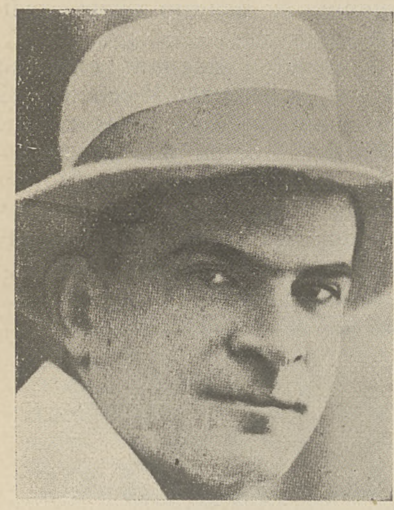
— W naszym repertuarze — odpowiada p. dyrektor — mamy jeszcze kilka sztuk, ale nie wszystkie są pewne, mogą być pewne odchylenia. Po komedji Kiedrzyńskiego „Raz się tylko żyje“, która jest najnowszą i dopiero w kilku teatrach ją wystawiono, mieliśmy zamiar dać „Dziady“ Mickiewicza, ale, że czas już teraz jest nieodpowiedni i zespół mamy niezbyt liczny, a także i dekoracje przysporzyły nam wiele kłopotu, postanowiliśmy odłożyć to dzieło do następnego sezonu. Najbliższą premjerą będzie trzecia już komedja węgierska w tym sezonie „Pieniądz to nie wszystko“ Bus-Tekełe'go, w której poruszony jest problem bezrobocia inteligencji. Drugą będzie komedja polska Pawlikowskiej „Powrót mamy“, a potem pójdzie komedja muzyczna „Jim i Jill“. Wreszcie Fodora „Kiedy kobieta kłamie“. Taki mniejwięcej mamy repertuar do końca tego sezonu. Na rozpoczęcie następnego sezonu pójdzie na pierwszy ogień „Wesele“ Wyspiańskiego, a gdzieś w listopadzie „Dziady“ Mickiewicza.

— Jaki jest stosunek mieszkańców Częstochowy do teatru?

— Stosunek ten jest jak najprzychylniejszy, jak najlepszy; chcąc odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym mówić tylko w superlatywach. Społeczeństwo częstochowskie, prasa, organa samorządowe, wogóle wszyscy są dla nas bardzo przychylni.

— A młodzież?

— W tym sezonie wystawiliśmy tylko dwie sztuki dla młodzieży: na początku „Śluby panieńskie“, a potem „Kordjana“. Wszyscy artyści są zachwyceni młodzieżą częstochowską i chcieliby grać dla niej jak najwięcej. W przyszłym sezonie postanowiliśmy więcej dać przedstawień szkolnych i w tym celu będziemy się



Dyr. Brodzikowski.



P. Zarembińska,
znana młodzieży z „Ślubów panieńskich“.



Dyr. Iwo Gall.

starali nawiązać kontakt z „ciałem pedagogicznem“, by razem uzgadniać program. Od jesieni mamy zamiar powiększyć zespół artystyczny, gdyż chcemy urządzić objazdy po województwie kieleckiem. W tym sezonie robiliśmy już kilka wypadów poza Częstochowę, a obecnie mamy zamiar wyruszyć z „Maturą“, która szła u nas już 35 razy, a jeszcze pójdzie 3 razy. Na zakończenie tego wywiadu jeszcze raz podkreślam, że młodzież jest najmilszą publicznością.

Teraz proszę p. dyrektora o wypożyczenie klisz do „Świata“, na co się bardzo chętnie zgadza. Dziękuję za wywiad i pytam, czy teraz mógłbym pomówić z p. Dobrowolskim. Właśnie zaczyna się przerwa, ze sceny schodzi p. Dobrowolski, ucharakteryzowany. Pan dyrektor, wskazując mnie, powiada: — „Te npan chciał z pane mzrobić wywiad“. Pan Dobrowolski wita się ze mną i wprowadza mnie do „dyrekcji“. Znowu głęboki fotel i nowe pytania.

— Jak się pan czuje w czasie przedstawień uczniowskich?

Oczy artysty rozjaśniły się. Z zapałem zaczął opowiadać swoje wrażenia.

— Przedstawienia szkolne wywarły na mnie jaknajmilsze wrażenie. Młodzież tylko potrafi reagować na momenty tragiczne i wesołe. Pełna jest zapału i dlatego bardzo ją lubię. Lubię grać i dla brzdąców, i dla trzecio-siedmio-ośmioklasistów, wogóle dla młodzieży. Młodzież! młodzież! młodzież! grać tylko dla młodzieży! ona jest bodźcem dla artysty, ona go zrozumie, przeżywa z nim każdy moment na scenie. W czasie tych przedstawień widać najlepiej współżycie widowni ze sceną. Starałem się, by nasz teatr wystawiał Słowackiego, Mickiewicza, Krasińskiego, a nawet ze starszych Niemcewicza, ewentualnie Shakespeare‘a, ale wszystko rozbijało się albo o to, że scena za mała, albo o brak funduszów. Chcę grać dla młodzieży, gdyż ona jest najmilszą publicznością.

Wtem odzywają się dzwonki, drugi akt się zaczyna. Pan Dobrowolski, żegnając się ze mną, jeszcze raz mówi: „Młodzież, młodzież, jak najwięcej grać dla niej.“ Sylwetka miłego artysty ginie wśród dekoracyj, by za chwilę ukazać się publiczności na scenie.

Po trzecim akcie postanawiam jeszcze zrobić wywiad z p. Tomaszewską. Znowuż p. dyrektor mnie przedstawia.

P. Tomaszewska sama zaczyna mówić: Najmilszą była dla mnie rola, jaką grałam w „Roxy“. Teraz, po drugiem przedstawieniu, czuję się bardzo zmęczona, a co dopiero w niedzielę, gdy 9 godzin trzeba pracować. Pół biedy, gdy się jest zdrowym, ale gdy grałam w „Roxy“ bardzo dolegała mi noga i całe 9 godzin musiałam skakać na jednej nodze, czułam się wtenczas bardzo wyczerpana po ostatniem przedstawieniu. Najbardziej podobała mi się widownia i scena w Wilnie. Tu, w Częstochowie, jest za mała widownia i dlatego musimy w niedzielę grać aż trzy razy. Takie Grodno, prawie dwa razy mniejsze od Częstochowy, a ma teatr wspaniały. W Częstochowie niema zbyt wielkiego zrozumienia dla teatru wśród inteligencji. Widzi się na widowni twarze zwykle obce, a te ze sfer wyższych nie pokazują się wcale.

— Jak pani się czuje w czasie przedstawień szkolnych?

— Coprawda grałam tylko w jednej sztuce, wystawionej dla młodzieży, w „Ślubach panieńskich“. Młodzież zawsze najmilsze wrażenie pozostawia po sobie. Młodzież długo pamięta o nas, długo pozostaje w jej świadomości sztuka widziana. Starsi tylko przyjdą na przedstawienie i koniec. Reagowanie młodzieży na

widowni jest widoczne, młodzież przeżywa każdą chwilę wraz z artystą. Lubię młodzież i chcę grać dla niej jak najwięcej. Wiem, że młodzież, a szczególnie dziewczęta, bardzo mnie lubią, gdyż często, mijając grupki uczenic na ulicy, słyszę, jak mówią: „Idzie Klara". Imię to otrzymałam ze „Ślubów panieńskich".

— Jakie role pani najbardziej odpowiadają?

— Moją rolą ulubioną była rola z „Roxy". Bardzo lubię role takie, jaką ostatnio grałam w „Maturze", szczególnie w drugim akcie, gdzie dałam z siebie wszystko.

Dziękuję za wywiad i żegnam artystkę. Ciemno i głucho już w teatrze. Wychodzę na ulicę. Cicho, tylko szumi ulewa i woda rozbija się po rynnach. Na drugi dzień jeszcze spotkałem p. Malatyńskiego, który także bardzo pochlebnie wyraził się o młodzieży częstochowskiej i podkreślił, że granie dla niej jest mu najmilsze. *Kamiński.* PGHS.

KĄCIK DLA MŁODSZYCH.

WIOSNA.

Przyszła miła wiosenka,
Przyszła młoda i hoża,
Strojna, niby druchenka,
Świeża, jak ranna zorza.

Wszystkie chaty przybrane,
Pierwszej wiosny zielenią,
Wszystkie twarze kochane
Śmieją się i rumienią.

A w chałupie niziuteńkiej,
Krzewinami zarosłej,
Siedzi dziecko malutkie
O twarzyczce radosnej.

Patrzy z swego okienka,
Cieszy się i raduje,
że ptaszyna maleńka
Na drzewie wyśpiewuje.

— Powiedzże mi, mój ptaszku,
Czemuś taki wesoły?
Czemu śpiewasz od brzasku
Z ponad naszej stodoły?

I dziwuje się dziecię,
że ta jabłoń, ta mała,
Ta nad drogą, przy płocie,
Tak nagle zabielała.

I przygląda się trawie,
Srebrną rosą zroszonej
I motylków zabawie
Koło wody zielonej.

Siedzi dziecko za szybą
I śledzi białe chmury,
Co w błękitną dal idą
Hen, za rzeki, za góry.

Patrzy z chaty na pole,
Na wąziutkie zagony,
Na zaoraną rolę,
Na pas miedzy, zielony.

Gdzie to wieśniak schylony
Siwe wołki pogania,
Pług rżnie ugor zielony,
Czarną ziemię odsłania.

Słyszy mała dziecina,
Jak hen, hen, pod chmurami
Śpiewa szara ptaszyna,
Sławiąc Pana nad Pany.

J. Fatyga.

Jak wychowuję mojego syna?

KRÓL RUMUNJI, KAROL, ZABIERA GŁOS.

Słyszałem kilka razy rozmowy młodszych kolegów na temat życia młodych królów, książąt, czy dzieci wybitnych osobistości, ich nauki, zabaw i zainteresowań. Widziałem, jak z ciekawością przyglądali się fotografjom lub rycinom, przedstawiającym tych wysoko urodzonych rówieśników przy sportach, na przyjęciach oficjalnych, czy paradach. Wcale się temu nie dziwię, są to naprawdę rzeczy ciekawe, a niedość znane szerszemu ogółowi. Ostatnio dopiero po tragicznym wypadku marsylskim, który wyniósł młodego Piotra na tron, prasa zajęła się właśnie temi sprawami, zaczęła podawać najrozmaitsze szczegóły z jego życia i przeprowadzać porównania z innymi małymi następcami tronu.

Ciekawie pisze o tej sprawie pewien dziennikarz francuski, ogłaszając swój wywiad z królem Rumunji Karolem; sam król mówi o życiu swego ukochanego syna, jego wychowaniu, jego kolegach, rozrywkach i zainteresowaniach.

Po załatwieniu wszelkich formalności i po

przyjęciu prośby o audjencję, w oznaczonej godzinie, wprowadzeni przez oficera dyżurnego, stajemy razem z dziennikarzem przed obliczem władcy. Serce bije nam głośno, a wszystkie piękne zdania, ułożone na przywitanie, ulatują gdzieś daleko, no i nie wiemy, co począć. Król doskonale to rozumie, uśmiecha się i podając rękę, zaprasza do swego gabinetu. Siada za biurkiem, zarzuconem urzędowemi papierami. W rozmowie młoda jego twarz ożywia się, bije z niej dobroć i energja. Po chwili wzrok króla pada na jedyną na biurku fotografję syna Michała. Spojrzenie to wykorzystuje dziennikarz i opowiada, jak na ulicy Bukaresztu spotkał przypadkowo młodego księcia, kiedy sam kierował swojem autem; prosi wreszcie króla, by mu zechciał coś o swym synu opowiedzieć. Król Karol mówi o synu z wielką miłością i wzruszeniem. Mówi o wychowaniu. — „Myślę, że dziecko, które powołane będzie do rządzenia, powinno przedtem nauczyć się słuchać. Zanim stanie się królem, musi pierwej stać się człowiekiem umiarkowanym, sprawiedliwym i dobrym.“

Niemożliwością jest tutaj podać całą mowę króla; na jej podstawie poruszę tylko rzeczy najciekawsze. Król Karol bardzo kocha swego syna i by go mieć zawsze przy sobie, nie wysłał go do Anglji czy Francji, gdzie kształcą się przeważnie synowie rodzin panujących, lecz utworzył maleńkie liceum, w którem wojewoda Michał uczy się razem z jedenastoma kolegami. Są to chłopcy jednego wieku, zebrani z rozmaitych klas społecznych i rodzin, reprezentujących rozmaite rasy etniczne Rumunji. W ten sposób ks. Michał, w czasie studjów, znajduje się w ścisłym kontakcie z różnemi sferami społecznemi i narodowemi.

W szkolę książę nie posiada żadnych szczególnych przywilejów. Najlepszym uczniem w jego klasie jest syn mechanika. Dzięki temu poznaje, że zasługę zdobywa się tylko osobistym wysiłkiem.

W klasie wszyscy są na „ty“. Stosunek między kolegami jest przyjacielski, nie widać żadnego skrępowania obecnością tak wysokiej osobistości. Wszyscy lubią się bardzo bawić i płatać figle. Bardzo często książę zaprasza kolegów na obiady, w czasie których mają przyjemność rozmawiać z królem. Sam król mówi tak: „Wpływ kolegów na Michała okazuje się bardzo szczęśliwy, dzięki nim mogę często kontrolować jego charakter, nastroje i myśli“.

Z przedmiotów książę najlepiej lubi matematykę. Lekturę wybiera mu sam król. Książę przeczytał już wszystkie książki Juljusza Verne'go w doskonałem tłumaczeniu rumuńskiem, a pozatem bardzo lubi książki o treści podróżniczej i fantastycznej.

Najbardziej jednak zaciekawiają go sporty. Doskonale kieruje autem i motocyklem. Dosiada konia, jest zawołanym myśliwym, bardzo dobrze strzela, pływa i jeździ na lodzie. Kiedy się dowiedział, że syn Mussoliniego dostał pozwolenie na prowadzenie samolotu w 17 roku życia, oświadczył, że on sam poleci, gdy będzie miał 16 lat. Wtedy król powiedział: „Wszystko ma swój czas“. Wojewoda Michał lubi być między żołnierzami i lubi ich ćwiczyć na swój sposób.

Na zakończenie słowa samego króla:

„Wychowanie księcia nie jest łatwe. Wychowuje się go nie dla siebie i nie dla niego, lecz dla narodu i roli, którą ma odegrać. Książę stara się to zrozumieć, że tak on, jak jego koledzy, jak i wszyscy młodzi nie uczą się dla mnie, dla rodziców, ale dla siebie i ojczyzny. Myślę, że trochę stanowczości i dużo serca dadzą dobre rezultaty“.

J. N. GPHS.

W miesiąc Maryji.

Gdy przyjdzie Twój miesiąc, Rodzico,
Zielenią okryje się świat,
Zstępujesz do nas, Dziewico,
I spieszysz do ludzkich chat.
W ręce Twej błyszczy biała lilija.
Bądź pozdrowiona, Zdrowaś Maryja!

Rozsiewasz promienie światłości
I radość rzucasz dokoła,
Otacza Cię okrąg świętości,
Oświetlasz nim łany i sioła,
Snujesz tę światłość, Gwiazdo Zaranna.
Bądź pozdrowiona, Maryjo Panno!

Odwiedzasz kapliczki drewniane,
Ubrane w kwiaty i zioła,
Dążysz w krainy nieznane,
Dążysz na skrzydłach anioła,
Z uśmiechem promiennym jak zorza.
Bądź pozdrowiona, Mateczko Boża!

S. Lewandowska. III. Nauka i Praca.

Z przedstawienia amatorskiego „ROMANTYCZNI“.

Odrazu pierwsza scena wprowadza widza w tok niezbyt skomplikowanej, lecz dosyć interesującej akcji.

Widok, który rzuca się w oczy po odsłonięciu kurtyny, robi wyjątkowo estetyczne wrażenie. Sprawiają to zarówno sami aktorzy, jak i ich piękne kostjumy, a także w dużej mierze oświetlenie i dekoracje. Jednakże wrażenie to trwa tylko do chwili, kiedy padają pierwsze słowa; bywa tak zresztą nietylko w teatrze amatorskim, ale wogóle w każdym, gdyż nigdy nie

można pierwszych słów wypowiedzieć tak, aby nie brzmiały sztucznie.

Już po kilku minutach para zakochanych „wżywa“ się doskonale w swoje role i trwa w nich aż do końca. Znacznie gorzej w porównaniu z Sylvettą i Percinet‘em (p. Lanżanka i kol. żesławski) wypadł ojciec tego ostatniego, Bergamin. Nie było to niewątpliwie jego winą; trudno młodzieńcowi w kwiecie wieku, z tak potężnemi barami, basem i t. p. walorami, posiadanemi w całej pełni przez kol. Lipniackiego, grać rolę starca. O wiele lepiej natomiast udał się typ drugiego ojca, Pasquinet‘a.

Kol. Kurpiński wywiązał się ze swego zadania bardzo dobrze, a może nawet najlepiej z całej obsady.

Przez odpowiednie zaostrzenie głosu, harmonizujące z nim ruchy, stworzył typ starca-sknery, niepozbawionego jednak pewnych cech dodatnich; słowem takiego, jak go maluje autor.

Nieźle wywiązał się ze swej roli również Straforel (kol. Kuźnicki). Miejscami wprawdzie nieco przesadzał (monolog), ale takie sceny, jak np.: porwanie, namawianie Sylvetty do ucieczki wypadły doskonale.

Na wzmiankę zasługuje także ogrodnik (kol. Kamiński), który wywiązał się dobrze ze swej skromnej rólki.

Reasumując, stwierdzam, że całość była nadzwyczaj udana.

B. Kopecky.

ZE SPORTU.

CIEKAWE SPOTKANIE.

W dniu 27 kwietnia r. b. bawiące na wycieczce w Częstochowie klasy wyższe państw. Gimn. im. T. Czackiego w Warszawie (Nr. 2) rozegrały mecz towarzyski w siatkówkę i koszykówkę z drużynami państw. Gimn. im. R. Traugutta (Nr. 327) na boisku gimnazjalnem przy ulicy Zielonej.

Spotkanie budziło zaciekawienie ze względu na wysoki poziom sportu Warszawy.

Mecz rozpoczęła siatkówka.

Gra od początku b. ostra, jakkolwiek serwy gości nieszczególne. Wyniki ważą się. — Z drużyny Gimn. Traugutta wyróżnia się Skawiński, Siedlecki. U gości szczególnie niebezpieczne ścięcia, których wogóle nie przyjmowano z obawy kontuzji. Goście prowadzą. Do przerwy pada 15:10 na korzyść Warszawy. Po przerwie inicjatywę ujmują bezsprzecznie goście. Są panami boiska. Gra drużyny miejscowej ofiarna, ale bez skutku (chwilami zawodzi „Dzidek“). Z ładnych wystawień Warszawa bije w rogi boiska, raz po raz ścięte, nie do przyjęcia. Szczególnie zabójczy jest Wilamowski — „Maciuś“. (Ten zawodnik warszawskiego gimnazjum ma 4-te miejsce w Polsce, niedawno grał przeciwko reprezentacji Łotwy.) Faktycznie Wilamowski mecz wygrywa. Profesor ogwizduje koniec gry. Wynik 15:1 dla gości. W sumie na punkty 30:11 na korzyść Warszawy. Sędziował ostro Milczarz.

Następuje przygotowanie do koszykówki. Skład naszej drużyny następujący: Skawiński, Osmęda, Siedlecki, Bilski, Milczarz. Rozpoczyna się gra.

Drużyna gimn. Traugutta z miejsca bierze tempo mordercze dla Warszawiaków. Ślicznie gra Skawiński. Padają pierwsze kosze. Goście tracą orjentację. „Trafiła kosa na kamień“ — mówią wokoło. Nasz profesor rozanielony. Napróżno Warszawa dopinguje swego „Maciusia“. Przegrane denerwują gości. Co chwila pada nasze zwycięskie: „Jeest!...“ Nasi świetnie przeprowadzają atak. Co chwila kosz, kosz! — Ataki przeciwnika załamują się na obronie Milczarza i Siedleckiego. Do przerwy świetnie 10:0 dla nas!

W przerwie Wilamowski (Warszawa) zmienia gracza. Goście narzekają na brak zgrania w swej drużynie. Nasz skład niezmieniony.

Rozpoczyna się gra.

Goście zrywają się teraz. Są częściej pod koszem Częstochowy, ale wysokie podania Siedleckiego z obrony w ręce Skawińskiego skupiają grę pod koszem Warszawian. Goście jeszcze raz zmieniają gracza. Napróżno. Zwycięski nasz atak bije kosze jeden za drugim, Wilamowski schodzi z boiska (zastąpiony natychmiast, wobec przegrywanej nie chce patrzeć do końca. Gra coraz szybsza. Tempo szalone. Zbliża się koniec gry. „Honorowego, honorowego!“ — krzyczą widzowie. Nie! Do zera! Koniec gry. Wynik 22:0, dla drużyny gimn. Traugutta. Sędziował od przerwy Jełowicki — spokojnie. Drużyna Częstochowy odniosła poważny sukces. Wygrali ze stolicą.

Widz. (327.)

OD REDAKCJI.

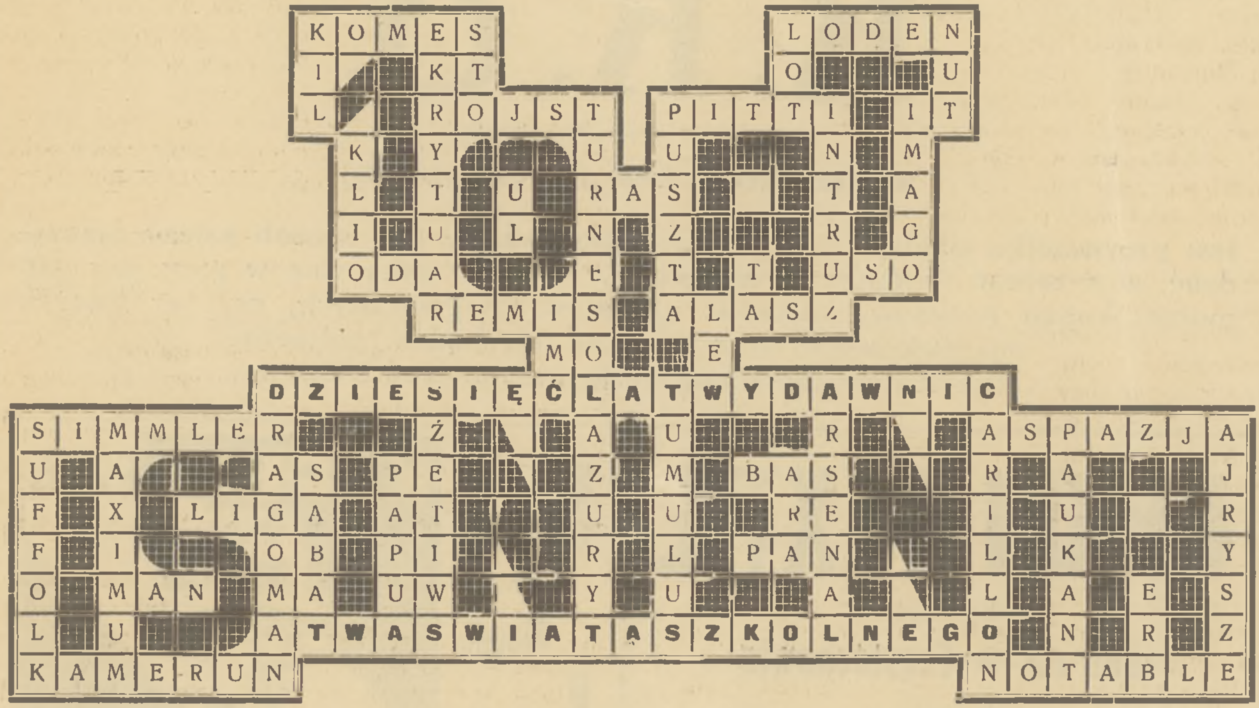
Wobec skierowanych pod adresem Redakcji zarzutów, że większość artykułów, umieszczanych w „Świecie Szkolnym“, pochodzi z G. P. H. S. — wyjaśniamy: G. P. H. S. nadsyła prac więcej, niż wszystkie inne razem wzięte szkoły częstochowskie — jest więc rzeczą całkowicie naturalną, że mimo selekcji — wśród autorów drukowanych przeważają uczniowie G. P. H. S.

Kurator: *P. Bojarska.* Redaktor: *W. żesławski.*

Druk. F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.

Dział rozrywkowy.

Rozwiązanie Logo-krzyżówki Jubileuszowej.



Za prawidłowe rozwiązanie logo-krzyżówki jubileuszowej Redakcja przyznała nagrodę kol. I. Sitkównie G. SS. Zmartwychwstanek.

Redakcja ogłasza wakacyjny konkurs literacki i fotograficzny na temat:

Z obozów, wsi, wybrzeża.
Radość życia — fotografje.

Prace należy nadsyłać do dnia 10-go września b. r. do Redakcji.

Druk. F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie.